Od autora: Powieść jest nie tylko opowieścią o niespełnionej i tragicznej miłości dwóch kobiet; próbą zrozumienia, umiejscowienia się w świecie, własnej seksualności i sprostania uczuciom, które nie dają za wygraną, budzą się w snach, wstrząsając codziennością.

Jest to też rodzaj podróży filozoficznej, może egzystencjalnej, podróży w głąb kobiety i po powierzchowności świata.

Rozdziały niekoniecznie będę publikowała w kolejności, bo mi się w niej nie piszą ;) A kolejność trzymania się zdarzeń: według teraźniejszości, czy według przeszłości przez pryzmat teraźniejszości - jeszcze będę ustalać!

Niemiernie dziękuję za pochylenie się nad tekstem!

Rozdział I

Mówiła na mnie Kot.

Na tym poprzestaniemy. Reszta mnie, jak się zresztą okaże, raz będzie przybierała na sile, raz traciła na znaczeniu aż do zaniku, bowiem miłość, miłość niespełniona pożera swoje ofiary po cichu, dawkując nierzeczywiste, jak najcenniejsze drobiny szafiru. Mimo ich wątłych ilości z naparstkowych pudełek, pozostawiały na wszystkim, czego dosięgły trudne do usunięcia wyżółcenia, tym boleśniejsze, im mniej rozcieńczone rzeczywistością. A ja byłam przecież normalną dziewczyną, w dodatku z cichego powiatowego miasta; dziewczyną, której wśród szczególnych talentów trafił się ten do otwierania zakazanych opakowań, wypijania zawartości i przeglądania się w ich dnie. Wpatrywanie się prowokowało wielobarwne uzależnienia, niczym w kalejdoskopie, którego ogniskowa za każdym obrotem zaskakiwała niepowtarzalną, mieniącą się mozaiką złożoną z przypadkowych powikłań na szkle. Oko nie było w stanie ich wychwycić w szczególe, spamiętać i zliczyć. Potrafiło jednak przekraczać biel i tonąć; tonąć obsesyjnie, bezmyślnie i w sterowaniu, tonąc krwiotwórczo, wysyłając się w powietrze, nasferycznie, bez punktu podparcia i całkiem zwyczajnie, bez nijakich czarów w kącie na sofie.

Wyścig do końcowej taśmy z napisem: być sobą – zajął mi nieskończenie długą nieskończenie prostą. Bycie sobą nie było jednak takie proste i przypominało wystawianie rybiej głowy ponad powierzchnię wody. Zbyt duża ilość tlenu zabijała. Uprawiałam więc pozoranctwo i przypadkowość. Na pozór byłam normalna i przypadkowo bywałam w miejscach, gdzie normalność wywracana była na lewą stronę – interpretacja wywracania jest w tym przypadku zupełnie dowolna. W moim otoczeniu przeważały jednak zbiorowiska skostniałe do tego stopnia, że obok pozoranctwa i przypadkowości dodatkowo uprawiałam udawanie. Udawanie i zaprzeczanie w całej esencji zaprzeczania, że całkowicie wbrew sobie: absolutnie nie mam zdolności manualnych i nigdy nie wprawiałam w ruch instrumentów, może kiedyś, dawno temu gitarę, ale tylko do użytku zewnętrznego, tylko chrypiącym głosem, tylko przy ognisku. Stąd na wszelkie przypadkowe pytania zaprzeczałam niezbicie, ale i bita także, że moje palce nigdy nie prowokowały rezonansów znikających w drżeniach skrzypiec czy kontrabasu , nigdy nie trąciły żadnej struny; nigdy werbli, obleczonych skórą, na której można grać opuszkami aż do pęknięcia; do napięcia i rozprężenia, rezonować po orbicie i zapętlać się do wnętrza; usta natomiast nigdy nie tchnęły życia w egzotyczne ustniki klarnetów, czy płaczące fletów poprzecznych, ślizgając się na kolejnych falach powietrza wydychanego przez korpusy; i nie wiem, co to rozszczepiać dźwięki w tremolo, by napięły się i zniknęły w drżeniach,

zginęły w zapisach naprężając pięciolinie, pulsując za każdym kluczem wiolinowym, jakby zadawały się mówić: rozpręż mnie i rezonuj, i nie przestawaj. Grać. Jakby. Nigdy.

Jednak mimo zagrożenia, kiedy tylko zostawałam sama, otwierałam i wprawiałam najpierw w zakłopotanie, a potem w „nie zostawiaj mnie tak, zrób coś" najmniejsze rozkrzewienia limfocytów szyjnych, zagłębienia obojczykowe, spojenia wszystkich achillesowych słabości i przyśrodkowych skurczy przywodzicieli. Znajdowałam uwielbienie w skomplikowanych mechanizmach ścięgnopoliczalnych, bo tylko one zadowalały mnie na tyle, bym czuła się żywa, i bym jak motyl, pozbywszy się kokonu, mogła przez ułamek dni zawładnąć ogniskową w innych oczach.

Kiedy mówiłam: – Jeszcze kwitną bzy, ale już niedługo lato, piechotą – wywoływałam zażenowanie na twarzach znajomych, pracujących uczciwie od świtu do zmierzchu na swoje ciułane fortuny. I nie żebym nie grosiła na swoją. Łatwiej jednak było oddychać, że świadomością, że tuż obok całkiem dobrze miała się równoległość, której światło rozpraszało się na innych zasadach. Której światło, mówię w ogromnym uproszczeniu, najzwyczajniej nie oślepiało i nie odciągało od rzeczy ważnych, czystych. Świeżych, jak dziecięce prostoty. Obcowanie z prostotą rzeczy filtrowało zakłócenia i pozwalało na bezpieczne wykonywanie kroków w tył, w bok i wszelkie inne szerokości, byle tylko nie zastygnąć w bezruchu.

Toteż uwielbiałam się droczyć z małą Kingą, doprowadzając ją swoimi wywodami do białości, i zawsze na finał poirytowana wykrzykiwała, zaciskając mocno piąstki:

– Ciociu! Cicho!
– „Cicho!" – Skarbie – to mówił Putin do Miedwiediewa.

– A kto to?

– To dyplomaci, co na śniadanie jadają kawior i piją szampana. Przynajmniej tak piszą o nich w gazetach.

– A co to kawior?

– Hmm, to ikra jesiotra, przysmak bogaczy, ale dla Ciebie, to jest tak jakbyś na śniadanie piła co rano kakao i jadła pieczone udka z kurczaka, albo tyle twarożku ze szczypiorkiem, – który ma zwyczaj przygotowywać dla ciebie babcia, – że aż byś pękła z przejedzenia.

– Yhy, nie musiałabym jeść chleba.

Skutkiem droczenia zawsze była kalkulacja, dziecięca prosta kalkulacja z którą nigdy nie udało mi się wygrać. Na nic zdawały się elokwencja, przeczytane książki, i cała wiedza o świecie. Wzór na bycie szczęśliwym był prosty: Jednego nie ma, znika. Przy czym powód znikania jest tu zupełnie obojętny. Po prostu zapominało się o nim ledwie po pojawieniu. I już za chwilę przybywało drugie, otwierając puszkę monosłów, ustawiających podmiot jednoznacznie: biorę, mam, moje, zużywam, uśmiecham się, przestaję, spalam się, znikam, odradzam, odchodzę, przechodzę, po drugiej stronie ogniskowej też jest dzień, gdzieś zawsze jest dzień, świeci słońce, słońce zachodzi, a niebo zawsze jest niebieskie. Kropka. Świat lżejszy i prostszy. Jeszcze bez soczystych fascynacji, zauroczeń i tąpnięć. Jeszcze!

machina animata

– Co on mógł wiedzieć o życiu? – wyrwało mi się między nieruchome powietrze w przedziale pociągu relacji Kraków - Wrocław. Starszy Pan, siedzący we wnęce obok, wagonu drugiej klasy, obrzucił mnie spojrzeniem, które zdawało się mówić: w pociągach nakazuje się brzuchomówstwo. Zignorowałam niewypowiedziane i patrząc na zapomniane przez wszelkiej maści bogów, naznaczone biedą dzielnice Górnego Śląska, pogrążałam się w prymitywnych rozważaniach. Jak to możliwe, że Sartre pisząc tak wiele i tak wiele czytając znajdował czas i możliwość żyć, i przeżywać. Znajdował czas na poznanie czym rzeczywiście jest zmaganie zatopione w egzystencji. I kiedy, u diabła, kiedy był wśród tych wszystkich ludzi i prawd namacalnych, o których tak żywo rozprawiał. Jeszcze wtedy, wstyd się przyznać, nie byłam świadoma ile czasu marnotrawię i ile myśli przecieka przez zamknięte powieki, moje, jej, wszystkie…

Koła pociągu, siłą ciężaru uzależnione od dotyku stali, wpadały w niejednolite połączenia szyn, prowokując stukot, który niczego nie ułatwiał. A nawet wzmagał doznania, budząc trudno uchwytne uczucie, zamknięte w niejasnym, jednak szczelnie spersonifikowanym wielosłowiu na ‘e’: Estery, eksterminacji, ekspozy, ekstaty, tyty, tyty, tyty, ty, ty… Przeplatał się z delirycznością podróży wtłoczoną w rozdarcia, w szczeliny, trzymającej się jeszcze, jednak z wielkim trudem, tkaniny. Podróży, na której początku zimowymi popołudniami rozkwitały jabłonie, a na końcu której zabrakło choćby zrezygnowanej dłoni, zdolnej mimowolnie utrzymać na pożegnanie białą chustę – ani w geście kapitulacji, ani dając do zrozumienia, że „już cię nigdy nie zobaczę”.

Myśli, odżegnujących od czci i wiary, myśli nakłuwających szpilkami truchło francuskiego filozofa, namnożyło się tyle, że gdyby je wtłoczyć do drukarki, zapełniłyby wszystkie perony mijanych stacji. Może i były to słuszne przebłyski, wziąwszy pod uwagę wszelkie zawiłe niedostępności i spiętrzenia. Bo i cóż mógł Sartre wiedzieć o tkaninie, którą czas utkał między mną, a efemerycznym; uwił w barwne sploty, co niekoniecznie czyniło ją wytrzymałą i co na pewno przyprawiało o szaleństwo i częstoskurcz.

Jeden fakt był mimo wszystko niezaprzeczalny, (choć pozostawał i tak bez znaczenia na pływy), czegokolwiek JPS nie doświadczył, nigdy nie słyszał szmeru jej szala zarzucanego od niechcenia na szyję, stukotu obcasów, rozchodzącego się pośród mgły; stukotu o wilgotny bruk, rezonującego między murami, budzącego miejskie echo do spazmatycznych, nachalnych powtórzeń; nie słyszał ponaglenia i przypomnienia „jestem tu”, które wpędzało w paranoję na pustych, nocnych ulicach uśpionej, powiatowej mieściny. Powiedzieć, że wyrywałam włosy z głowy ze smutku, że pięścią biłam w serce, by przestało przyśpieszać, że nie pomagał lód na kark, na głowę, to nic nie powiedzieć. Powiedzieć, że gubiłam się w ciszy, że gdy stukot znikał i porzucał mnie po wielokroć, potrafiłam zatrzymać się pośrodku ulicy, to opowiedzieć ledwie ułamek, drobinę z siły, która zginała mi kolana i skręcając ilio psoas w esownicę, nie pozwalała ni oddychać, ni ukryć się w bezpieczne miejsce.

Przepracowałam ból i dziś wspomnienie mojej naiwnej wściekłości, wywołuje uśmiech na twarzy. Ale pamiętnego roku dwa tysiące dziesiątego nic nie było do śmiechu. Ciało i umysł odklejone od siebie, zmierzały jednako nad przepaść. Ciało zdawało się zapadać, schnąć i zanikać, mimo regularnego karmienia, mimo witamin, ziół i kilometrów pokonywanych biegiem. Umysł, egoista, widział w ciele jedynie narzędzie. Chciał ulżyć sobie i zniknąć. A do znikania wytrzymałe mięśnie stwarzały wieczne problemy, nie opierały się jedynie spazmom płaczu i panicznej histerii, na której końcu do wyboru pozostawały: podróż za jeden sznurek, konsternacja na mostach lub przystawanie i popadanie w apatię na wiaduktach kolejowych. Do dziś jeszcze zdarza mi się brać na moście głęboki oddech, zastygać i liczyć do dziesięciu, by przejść na drugą stronę. Są odczucia, których nie da się zapomnieć, nie da się wyprzeć, wymazać, zaznaczyć kursorem i pozbyć się klawiszem „usuń” – już zawsze będą wzbudzały strach i nawet jeśli oszukamy umysł, ciało zdradzi nas drżeniem, ściskiem szczęki i bezdechem.

Na ratunek przychodziły mi jedynie ciekawość świata i wszystkie niepoznane, nieprzeczytane historie z książek odłożonych na później, zawsze są jakieś odłożone książki, zawsze muszę je mieć; zawsze muszę ją mieć, –- świadomość, że jutro mam jeszcze coś ważnego do zrobienia i jako człowiek odpowiedzialny nie mogę zawieść czyichś nadziei. Stałam się kobietą w wiecznym ruchu i nieustannym czytaniu, zmuszona odżegnywać stagnację i wpadające do słoika z tożsamym napisem czarne jak smoła myśli.

Bywa też niestety, rzadko, ale jednak, że wspomnienie prześmiewczego ciągu słów, wycieka spod niedokręconej pokrywki i wywołuje odruch obronny, wymiotny, jak przed trudną do wykrycia trucizną; jak po chwili zwątpienia po wypiciu tejże. Wymiotny i ciężki, nieoddychalny.

Mam irytującą świadomość, że wszelkie filozofie przeczytane tegoż roku, ale innego dnia, mogły być i pewno byłby, zupełnie bez znaczenia. Wszystko stałoby się lżejsze. Jakże pozbawione analizy. Jakież odsączone z rozdrapywania, roznamiętniania; i ponad wszystko zdrowsze. Ubogie jedynie o miłość, na którą czeka się od początków aż do zarania – nie doczekawszy , bo jak już się trafia, ona, miłość, to świadomość jej istnienia zupełnie do nas nie dociera. Nie dociera! Nigdy! Zaświadczam każdą komórką ziemskiego ciała.

Tymczasem pociąg jeszcze wlókł się przez Śląsk, bombardując źrenice ceglastymi zabudowaniami spowitymi w smugach czerni, stalowymi konstrukcjami, których już nikt dzisiaj nie umiałby obsłużyć, a na wylęknionych ulicach tu i tam wałęsały się bezpańskie psy i jeszcze bardziej bezpańscy ludzie. Bruk milczał pokryty kurzem, zimny, przygarbiony, ułożony w zawiły przypadek, przez przypadkowych robotników. Jedynie koty, z regularnością znaną tylko sobie, przeciągały się leniwie, stoicko, sennie, myjąc wszystko co z sierści do perfekcji. Ich postaci wyrastały w każdym kotolubnym oknie, niczym oznaki nadziei i wyzwolenia. Potem bezmiar biedy zastąpiły moje ulubione przestrzenie niczyje. Panoszyły się po horyzont, uporczywie płaskie, drwiąc z obserwatora rozpostarciem, rozmachem, rozłożystością; przybierając kształt osieroconych rżysk i bezlistnych lasów; zmęczonych wodą stawów, prących do morza stróżek i niemych bagien; bezptasich.

W takich sprzyjających upadkowi okolicznościach, brałam wielokrotnie, podczas tej podróży, pod lupę ciągle tę samą stronę z drobniejszym drukiem. Z każdym zbliżeniem się do liter pałałam świętym oburzeniem.

A było! A było po zbiorze opowiadań nie zapędzać się w posłowie i notkę biografii. Było nie przeglądać się w przebłyskach z dna. Przeklęta jest ta ciekawska natura, która bywa ożywcza, owszem, zdarza jej się jednak zamienić w potrzask. Przeklęty i Sartre, i homerowski *eros!*

– Alles tut weh!

Bo czy zbitek słów, rzeczona drwina: obdarowany człowiek przestaje być człowiekiem wolnym (tak to chyba szło) - miał przeważyć nad wszystkim? Miał być kluczem i młotem jednocześnie, od początku warunkującym, rzutującym i ustanawiającym? Śmieszne! Niedojrzałe! Niedorzeczne! – krzyczałam bezgłośnie, opanowując do perfekcji milczenie.

(jej) monumentum aere perennius

Siedziała na przeciw. Wyjęłam zza pleców zawiniątko. Blask, który ujrzałam w jej oczach najpierw za-

trzymał, a potem przyśpieszył mój oddech. Przyśpieszanie bywało do tego stopnia niekontrolowane, że czasem szczypała mnie w jakąkolwiek wrażliwą część ciała i mruczała: zwolnij… Dzisiaj jednak pochłonięta była widokiem papieru pakownego kryjącego nie tylko tajemnicę, ale i drogę, by do niej dotrzeć. Mocno się postarałam, zastawiając na otwierającego pułapki i zagadki, by i ten raz, kolejny raz obdarowywania stał się niezapomniany; stał się irytująco-wznoszący, niecierpliwy; sam w sobie podarunkiem. Entuzjazm połączony ze zdziwieniem i radością udzielił się i mnie, jakbym nie wiedziała, co kryje się pod skórą, co jest tajemnicą; jakbym z rozmysłem napisała scenariusz, którego jeszcze nie czytałam. Byłam budowniczym pokojów zagadek, nim jeszcze komukolwiek przeszło przez myśl, że można je budować. I wszystko po to tylko, by odnaleźć sznurek, szkiełko, błyszczącą do słońca na poboczu nakrętkę, lub nagłą myśl, spisaną w przypływie.

Nie umiem powiedzieć, czy oczekiwała prezentów, może potem, z biegiem czasu. Trudno jednak było oczekiwać czegoś, co nie miało stałych pór, zapowiedzi i systematyczności. Co nie miało znamion obietnicy, będąc jednoczenie wielkim znakiem obiecującym wszystko. Było wszystkim. Nie umiem więc powiedzieć czy, oczekiwanie było w całej istocie oczekiwania realne. Nie umiem sobie przypomnieć. Skupiałam się na zapadaniu w jej zielonych oczach, ignorując wszelkie inne znaki. Kto kiedykolwiek zapadał się w oczach pełnych spiralnego smutku, z neonem brzęczącym nad wejściem: tu koniec nigdy się nawet nie zaczyna – rozgrzeszy mnie zupełnie. Zresztą, rozgrzeszę się sama. Oczekiwała, czy nie, była. Z krwi i kości moja.

I kiedy tak siedziałyśmy naprzeciw siebie, z przedzielającą nas przestrzenią pieczołowicie zagospodarowaną dla podarunku, niecierpliwiła się. Irytowała, jeśli nie znała odpowiedzi na pytanie, pozwalające odrolować kolejną warstwę papieru. Dawanie i branie z biegiem czasu wyniesione zostało do rangi rytuału, niczym składanie darów dziękczynnych; Do procesu, w którym byłyśmy jednocześnie świadczyniami i aktorkami. Ona - cyklonem, w całej złożoności zapowiedzi, niezmordowanego wiatru i ciszy pierścienia. Ja natomiast ogniskową wpatrującą się, w skurcze i rozkurcze mięśni, w bezwarunkowe reakcje, i prowokujące spojrzenia, pragnące milczącym ponagleniem wymusić zgodę na odpakowanie wszystkiego na raz. Byłam jedynym ich odkrywcą; drgań wszelakich cielesnych, Kolumbem Wysp Dziewiczych, piratem zatok ukrytych za zdradliwymi prądami. Od skarbu dzielił mnie jedynie świecowy wzrok, szklisty za chwilę, we łzach z uśmiechem na twarzy pełnym uwielbienia, tuż potem. Wszystko było moje. Aktorka i wziątka. Wszystko było przy mnie. Najmniejsze westchnienie. I puszczane mimo uszu, (tak nieistotne wtedy przecież):

– A ja znów dla ciebie nic nie mam… – szybko jednak zapominała. Odwijała zwoje papierów, kokardki, przeploty i sięgała do każdej rzeczy, opisanej w pojedynkę. Każdej rzeczy, co to wspólnie razem tworzyły historię jednej znajomości. Naszych eksploracji i następujących po sobie stworzeń dni.

– Co ja mam z Tobą zrobić? Kot!?

O brzmieniu tegoż słowa mogłabym napisać esej, z genezą powstania i innymi implifikacjami, implantami, imponantami i faktami imposta. W dzień pierwszy otrzepałam się z futra. Wyprostowana, na dwóch łapach, nabrałam siły i samosięstałam. Potem wykształciłam autonomiczny, zdolny do abstrakcyjnego myślenia, umysł. Jakież to były płodne dni. Pękałam metamorficznie, z dnia na dzień. Pod jej bacznym okiem rosły zielone listki, by absorbować siłę słońca; rósł puch, by chronić przed zimnem czyhającym w zaułkach; rosły też lotki, na okoliczność wyniesienia mnie ponad wszelką wątpliwość i jeszcze wyżej.
Jak nigdy, słowa kleiły się do mnie, przylegały i defilowały mokre od tuszu. Były tych słów zamaszystych całe tabuny, złożone w zdania, wersy i odpowiedzi. Posiadłam z biegiem czasu ową zdolność, zdol-

ność odmahometowską – której ofiarodawcą był podobno – a nawet mistrzostwo, spadania na cztery łapy i potem prostowania się od nowa. Nikt jednak w pismach nie wspomina, że łapy będą często poobijane i zdarte do krwi, a głowa nie mniej często będzie się kiwać, z bezradności, między ramionami. Snadź sama zdolność spadania na cztery łapy wywyższana była bardziej, niż jej komplikacje i komponenty. Skutek uboczny bowiem tak mocno zakorzenił się w naszej kulturze, że często pomniejsza się jego wagę, lub też uważa, że być musi, jako rodzaj pokuty. Trudno zrozumieć ten fenomen zatajania spraw ważnych, milczenia o cierpieniu, milczenia o budulcu, którego nie da się ani ominąć, ani wygumkować. Nie twierdzę, że cierpienie musi być nam koniecznie narzucone i że bez niego nie stajemy się wartościowi. Powinniśmy być jednakże przygotowywani na ewentualność jego wystąpienia. Choćby po to, by móc zmierzyć się z czymś, czego niejaką świadomość już się posiada, choć może mglistą, niewyraźną i pozbawioną uchwytnego.

Umówiłyśmy się, że zachowamy dystans do świata i ludzi, do uniesień i rozczarowań; do materii, która będzie nam zerojedynkowo przecedzać się przez dłonie: i że nie wpadniemy na siebie zgłodniałe pod stołem już na pierwszym spotkaniu. I że nie odejdziemy od stołu głodne. (Stół był drewniany, ciężki, rzucony w kącie podulicznych kazamatów, gdzie w półmroku można było zrobić wszystko i odważyć się pójść jeszcze dalej).

Umówiłyśmy się, a umów należy dotrzymywać, pozwalając deszczom swobodnie podróżować po arteriach, nabrzmiewać, pulsować, drżeć; nasycać się i wygasać.

Umówiłyśmy się, że będziemy na siebie czekać przy fontannie obok ratusza. Jeszcze martwej i uśpionej po jednostajnej zimie. Nie przesączającej wody, pustej, nieszczęśliwej; bez monet, obok których nie mogłam dorzucić swojej. Jakby fontanna nie chciała bym wróciła tu kiedykolwiek.

Nie pamiętam już miesiąca, dnia ni godziny. Nie wydają mi się nawet istotne po latach. Nie pamiętam, tak po prostu. Mój mózg nie tylko pomija rzeczy istotne, nie tylko zapomina, jak to zapominać mózgi mają w zwyczaju, że nie pamiętają i już. Mój mózg dokonuje wyborów według własnych kluczy, dopasowując, co pasuje do kolaży, i patchworków – pamięta dobrze dłonie, garście linii papilarnych, twarze, zmarszczki, wytłoczone na pergaminie. Pamięta odwrócenia głowy, gesty od niechcenia, przytulanie się całonocne do wylęknionego, wyziębionego ciała, nakarmionego prozakiem. To pamięta! Nie pamięta jednak dat i zaraz jak tylko miną, wrzuca je do niszczarki, wrzuca do mijanego po drodze kosza, przydeptuje jak niedopałek papierosa. Jakie to ma w sumie znaczenie, kiedy to było? Jakie ma znaczenie, kiedy trzymało się w ramionach zjawisko, o skórze pachnącej skórą, jej skórą!? Ważne, że się trzymało, ważne, że się nim oddychało, wspólnie stawiało stopy w zmrożonym śniegu.

Może, gdyby Jafrodyta nie przyszła, mogłabym opowiadać, że w marcu tego a takiego roku, piękna kobieta wystawiła mnie do wiatru. Zakpiła i nie przyszła, zwiodła w labirynty szepcząc: chodź… chodź… Efemeryczna zjawa, która okazałaby się tylko snem. Ale nawet najmniejszy podmuch nie podnosił tego dnia mgły z nad kamienic, najmniejszy zefirek. Nic!

A za chwilę miało się okazać, że była tam, żywa do szpiku kości, śmiertelnie obecna i zjawiskowo przytłaczająca. Jednak zanim dane mi było powiedzieć o niej niekończący się komplement, musiałyśmy się umówić, że spotkamy się przy fontannie.

Tyle, że ja miałam inny plan. Plan chytry i zakończony obietnicą wpatrywania się, kontemplowania, rozbierania na powieki, źrenice; palce pojedynczo i osobno, kości żuchwy nieskończenie zachłannie. Musiałam przybyć, jak czujki, na zwiady. Przybyć wcześniej, zająć dogodne miejsce i obserwować z ukrycia.

Móc delektować się chwilą, kiedy jeszcze się nie znamy, kiedy jeszcze przed pierwszym uśmiechem i błyskiem w oku dzieli nas dystans obcych materii, bardzo krytycznych, wycofanych, oziębłych, jakie wylęgają się wczesną wiosną. Móc być tym zaskoczeniem, które decyduje o nieskończenie otwartym, lub wielokrotnie zamkniętym.

Nikt nie obiecywał przecież, że cokolwiek będziemy się sobie podobać, że nie będzie trzeba wziąć nóg za pas, za pierwszy narożnik i bramę, pokonać pierwsze kostki brukowe w nadziei zanikania; uciekać w ulicę Wodną, skoczyć przez Młynówkę i zakosami pokonać most nad Nysą, by ukryć się w zakamarkach ulicy Śląskiej. Nikt!

Trzeba było mieć się zawsze na baczności!

Tego dnia jednak wszystko miało się zmienić, a czujki zawiodły. Pokonał je przeciwnik sprytniejszy, bardziej spostrzegawczy, o młodszych, bystrzejszych oczach; o dłoniach gładkich jak aksamit, których dotyk na mojej twarzy miał oznaczać wszystko i jeszcze dalej, z pytaniem przewodnim wyszeptanym przez Jafrodytę, które wgryzło się niepostrzeżenie pod skórę: Kimże jestem ja, zimnokrwista, palczasta, ogrzewająca oddechem twój kark; ta, która odebrała ci wzrok, by z zaimprowizowanej zgadywanki zbudować pierwszy trwały ślad osiadły w małżowinach. Ten sam ślad, który potem dźwięczał ponagleniem nad rzeką.

– Kot… – jej głos miał w sobie iskrę z fenomenu Mozarta. Całkiem jakby w mglistą noc, między otępiałymi murami, na opustoszałych ulicach miasta na K. w dzielnicy na K. o najczarniejszej czwartej nad ranem listopada, wśród rynsztoków spływających prosto do Wisły wszelaką rozpustą – wołała za mną – „Don Giovani…! Don Giovani…!", a wtórowało jej echo odbijające się w amfiladach i zaułkach. Echo wprawiające w drgawki, drżączki i dysharmonie. Echo na wpół ludzkie, na wpół dzikie; na poły odrażające, na poły ociekające pięknem; efemeryczne i okrutne; piekielne, rozpływające się we mgłach i oparach nadrannego snu, niemocy bezsenności i knowań tych, o sercach wypełnionych drzazgami; wreszcie do ciał w alkowach, odurzając zwierzęco, budząc instynkty zdrad, uwielbień i niedosyt pierwszych schadzek.

Bywa, że słyszę nawoływanie jeszcze dziś, kiedy do mojego powiatowego miasteczka zakradnie się mrok i mgła z nad Nysy wsysa powoli uliczkę za uliczką. Słyszę wtedy pośród kłodzkich kamienic wibrujące synkopy poprzedzające oniryczne cisze, usypiające odruch obronny. Tak jakby niesynchroniczny hałas miał wzbudzić czujność, tylko po to, by pozorna niedoskonałość pchała nas w poszukiwanie harmonii, by ostatecznie zamknąć miasto w potrzasku białej, rośnej zawiesiny. Jakby jej duch, duch Jafrodyty zmylał stukotem obcasów szej huluda z wydm, jakby szurszurała na pozór nierytmicznie, myląc kierunek i siłę stąpań; w skafandrze, odgradzającym ją od świata, systemie odzyskiwania ciepła, odzyskiwania uczuć, który ratuje każdą cenną kroplę jej oddechu przed niechybną śmiercią z rozpaczy.

Innym razem, głos Jafrodyty wybrzmiewał szaleństwem i nieposkromieniem czterech pór roku Vivaldiego, o którym się mówi, że zwrócił światu koloryt przyrody. Lecz go najpierw podstępnie wykradł, aż do tego stopnia, że niebo wyblakło. A kiedy oddał skradzione, każda nuta ułożona była we współbrzmiący porządek, naznaczony nieprzewidywalnością i chaosem. Całkiem jak w turkocie kół pociągu o szyny; w złotym momencie, w którym już, już nam się wydaje, że wychwyciliśmy rytm i ten nagle się urywa, zmienia, przeistacza wtłaczając niepokój. Przestaje być tym już prawie zaprzyjaźnionym, ułagodzonym sprzed chwili. Staje się pędzącym, rozedrganym donikąd.

Staje się dokądkolwiek pójdę, byle wgryźć się w jej usta nastrojone na wczesno jesienną nutę zbiorów,

czerwone od zbliżeń i win. Jej materię, jej stworzoność doskonale wyważonych proporcji, harmonijnych i spójnych z umysłem, z pierwiastkiem ciała mierzonym na: weź głęboki oddech, zanim odważysz się spojrzeć. Jej uśmiech przepleciony wszystkim, tylko nie uśmiechem. I dłonie, tak często odkrywane przeze mnie. Miały w sobie coś z maestrii dyrygenta, muzycznie uzdolnione, potrafiły wydobywać uwielbienia i rozdarcia; a nade wszystko szaleństwa o które nie podejrzewałam siebie wcześniej. I prawie najważniejsze: Jeżeli ktoś na świecie perfekcyjnie i przejmująco potrafił mówić: cicho - wprzęgając owo słowo w inne, dowolne, tym kimś była właśnie ona. I robiła to tak, że wiedziało się od razu, że stanowczo, bezapelacyjnie, natychmiast należało milczeć.

– Kot, stało się coś? Znów masz tę swoją minę…

– Nic. Zapatrzyłam się. Uwielbiam kiedy jesteś szczęśliwa. – (Wobec wszystkich za i przeciw, wobec niejasności, ta prawda była niepodważalna, naiwna na wskroś; najprawdziwsza na wskroś; bez warunków wstępnych; bez jakichkolwiek warunków; była.)

Odłożyła podarunki. I usiadła mi na kolanach. Przywarła do bioder, ud i całej dostępnej układanki mnie. To, jak się dopasowywałyśmy zawsze pozostanie dla mnie fenomenem. Wrastałyśmy. Czułam jej siłę, pulsującą jeszcze w autonomicznych, ale już nie całkiem moich nadgarstkach. Jej łzy, wzruszenie, jak pokutny popiół wnikały w moje włosy, powłoki i umysł – do pierwszej, drugiej, trzeciej skóry. Są tam do dziś, jak gdyby były bliznami po misternych oplotach dzikiego wina, przywarłego do pionowej ściany, śmiertelnie przerażonego faktem, że mój egoizm może zerwać psychowcielenie i zdeptać je przez zupełny przypadek. Przez przypadek!

Czasem w mroźne noce śniło mi się, że jej zszarzałe z zimna dłonie, dotykają nieśpiesznie spoin, które składają się na skurcze zmęczonych powięzi. Falowała moją skórą, prowokując ją do drżeń, do zabliźniania się, do odłączania się umysłu od nosicielki i spaceru w spokojny sen. Ujmowała każde najmniejsze zagłębienie; ujmowała z czułością; i co zawsze brzmi banalnie, i zawsze zbyt mało wzniośle, i zawsze zbyt mało autentycznie, z miłością, która dopiero co z zauroczenia przechodziła w pewność, ledwo się krystalizując, ledwo rumieniąc. Można było odnieść wrażenie jakby przyrzeczenia, które nigdy między nami nie padły, dawały nam niewyobrażalną siłę. Potrzebowałam dekady, by zrozumieć, że poczucie bezpieczeństwa między nami, było tak głębokie, że być może sięgało ideału, a nawet było nim, było nim bez afiszowania, bez tych wzlotów, które mogłyby dać do zrozumienia, że coś istnieje w podkreśleniu, że się musi podkreślać. Jak coś łatwego, zwyczajnego, co się dzieje tak po prostu. W mojej głowie jednak szeptuchały już złe duchy, powtarzając jak mantrę z pozoru niewinny komunał, zakorzeniony w społeczności i warunkujący bez świadomości warunkowania, że przecież: ideały nie istnieją.

Może dlatego rzeczywistość zaczęła płonąć. A za ogniem pojawił się strach.

*

*

*

*

*

*

*

- wysyłając się w powietrze - tłumacząc wprost z francuskiego słowa - s'envoyer en l'air, czyli mieć orgazm – (w języku także funkcjonuje zwyczajne „mieć orgazm", i inne milion zwrotów, ale wysyłanie się w powietrze, brzmi jak uwalnianie duszy, aż po siódme niebo, aż tam, gdzie skupiają się ciała astralne, skąd pochodzą zmysły i życie wszelkich dusz).

- alles tut weh – wszystko boli, boli mnie całe ciało – tutaj, w pojęciu filozoficznym: boli mnie cały człowiek, cała jego egzystencja.
- ad futuram rei memoriam - na przyszłą rzeczy pamiątkę

- machina animata – w dosłownym tłumaczeniu – zwierzę to maszyna, tutaj: człowiek maszyna
- monumentum aere perenius – pomnik trwalszy od spiżu
- homerowski eros – (za Wiki) Eros pragnie piękna i dobra, a skoro go pragnie, to go nie posiada. Jest pośrodku między mądrością a nieuctwem. Jest więc filozofem. Bogowie nie filozofują, ponieważ mają mądrość, nieucy też nie filozofują, bo nie chcą zdobyć mądrości. Filozofują ci, którzy są między mądrością a nieuctwem (Eros). Filozofem nie jest ten, kto posiadł mądrość. Filozofowanie to samo kochanie mądrości, a nie jej posiadanie. Tak jak Eros znajduje się między nieśmiertelnością a byciem śmiertelnym, tak filozof jest między nieuctwem a posiadaniem mądrości, jest on miłośnikiem mądrości. Eros to filozofia, umiłowanie mądrości i pragnienie posiadania jej. – tutaj: eros jest dążeniem do piękna i mądrości utraconej bogini
- ilio psoas (musculus) – mięsień biodrowo-lędźwiowy – jeden z mięśni odpowiadających za poprawną postawę ciała. Jego skurcze mogą dawać bardzo bolesne objawy rwy kulszowej.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

coca_monka, dodano 23.11.2020 08:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.